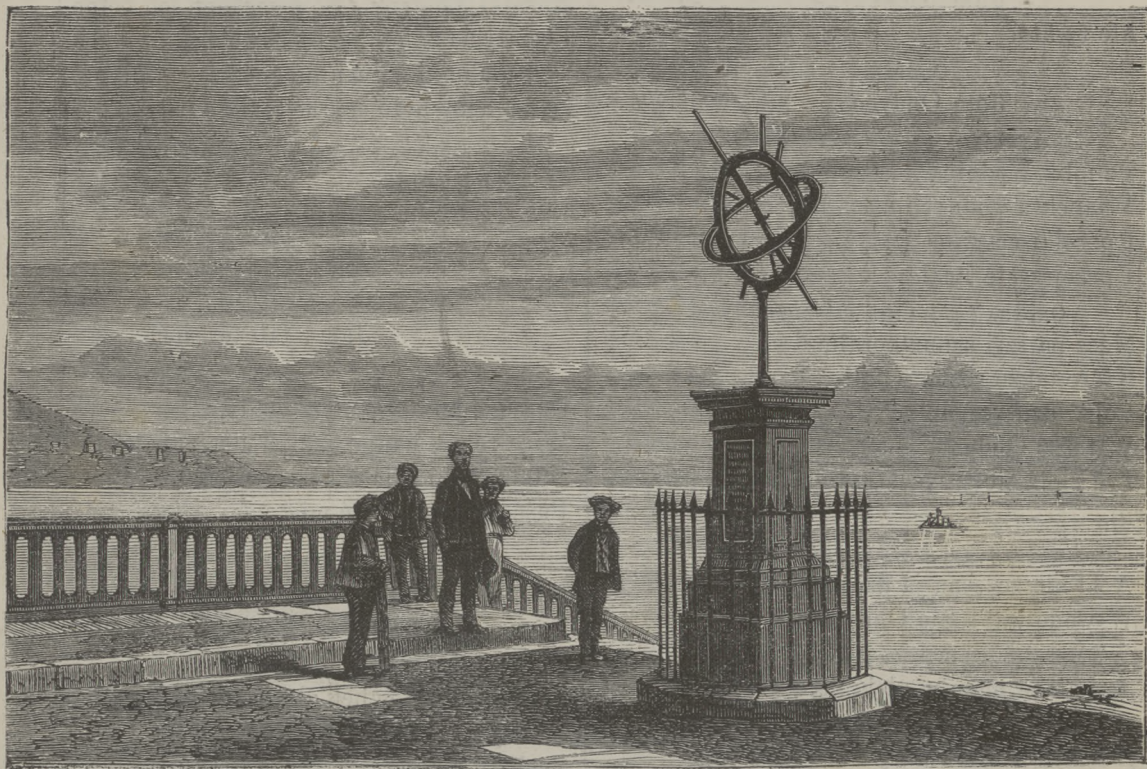
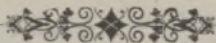


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[17]



K O S M N G R A F (str. 268).

Natura wilka ciagnie w las

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE,

(Przysłowie to może być grane przez dwie tylko osoby, ale jedna z nich szybko się przebiera. Scenę może stanowić latem prawdziwy skraj lasu, w którym w oddali przeblyskuje woda jeziora; można też coś podobnego urządzić i w pokoju, za pomocą dużych kwiatów i gałęzi. Od strony wody wychodzi z lasu *Ondyna*, czyli *Panna Wodna*, która wedle bajki ludowej lubi ważyć w głębinie ludzi, którzy w nich giną. *Ondyna* jest ubrana w długą szatę białą, jako wychodząca z wody, jest biała, blada, i ustrojona w wodne kwiaty i perły).

ONDYNA (zbliża się z wolna od strony jeziora).

Znowu zimę przedrzemałam, na jeziora dnie,
Znowu wiosna lód stopiła, przebudziła mnie.
Więc wychodzę z srebrnej toni, na słoneczny świat,

Bo okrutnie nudno w wodzie drzemać setki lat.
Gdybym mogła zwabić sobie z żywych ludzi kogo,
Może łatwiejby mi było znosić dolę srogą.
Popróbujmy, ktoś tu idzie ..

(Chowa się za drzewo. Dziewczyna wiejska, ładnie ubrana, z dzbanem jagód, przychodzi z przeciwnej strony, śpiewając).

DZIEWCZYNA.

Choć ja w pracy, choć ja w biedzie,
Dobrze mi na świecie,
Ojciec, matka, z pola przyjdzie,
Ścisnąć swoje dziecię.
Bom pociecha ojców cała,
Niema drugiej! szkoda!
Boby mi się oj, przydała,
Héj siostrzyczka młoda!

ONDYNA (*biegnie do niej z otwartemi ramionami*).
Ja ci będę młodą siostrą!

DZIEWCZYNA (*przestraszona*).
No!... oj!... panno! nie tak ostro!...
Bo rozsypiesz mi jagody...
Zkąd ty jesteś?

ONDYNA.
Jam z tój wody (*wskazuje jezioro*).

DZIEWCZYNA.
Z wody?!
ONDYNA (*głaszcząc włosy dziewczyny*).
Kto ty?

DZIEWCZYNA.
Jam dziewczyna,
Ale ty kto?

ONDYNA.
Jam Ondyna.

DDZIEWCZYNA (*ogląda się zdziwiona*).
To niby Wodnica?
Wianek z wodnych masz lilij
I perełki masz na szyi,
I przejrzyste lica!
ONDYNA (*ogląda strój dziewczyny*).
Masz na szyi sznur korali,
Które także rosną w fali,
Pójdź dziewczyno
W toń z Ondyną,
Tyś moja siostrzyca! (*usiłuje pociągnąć ją ku jezioru*).

DDZIEWCZYNA (*przerażona, wydierając się*).
Ach! nieszczęsna ja dziewczyna!
W wodę wabi mię Ondyna!

ONDYNA (*wabiąc*).
Ja pałace mam w głębinie;
Srebrna fala po nich płynie,
Z trzciny, z sitowia są tam parki!

DZIEWCZYNA (*zaciekawiona*).
A bywają tam jarmarki?

ONDYNA (*zagadując*).
Mam rój dworzan, huk czeladzi!
Wszyscy służyć będą radzi...

DZIEWCZYNA
A sąż młodzi w tym narodzie?
Czy tam można tańczyć w wodzie
I do żniwa stanąć w lato?

ONDYNA (*zakłopotana*).
O!... tańczą, żaba z rakiem,
A ty będziesz ze szczupakiem...

DZIEWCZYNA.
Co?! dziękuję za to!... (*wyrywa się*)

ONDYNA.
Ależ czekaj, nie uciekaj!
DZIEWCZYNA.

Et, do miasta czas!
Idzie chmura!... (*ucieka w głąb lasu*).

ONDYNA (*żałamuje ręce zmartwiona*).

Ot natura!
Jak to ciągnie w las!
Och, jak smutno mnie Ondynie,
Wiecznie samój żyć w głębinie.
Trzeba czekać tu nad drogą,
Może jeszcze spotkam kogo.

(Ondyna kryje się znów za drzewa, z przeciwnej strony idzie strojona panna z książką, którą czyta idąc, zbliżywszy się, spogląda po okolicy i mówi).

PANNA (*ziewając znudzona*).

Są lasy, rozłogi, gęstwiny, jeziora,
A wszystko jednakie, tak jutro jak wczora;
Rusalki, Ondyny... po książkach ich pełno,
Lecz życie zajęte igłą i bawełną.
Tak nudno, tak smutno godziny mi płyną,
Że lepiejby było śnić w toni z Ondyną.

ONDYNA (*występuje rozstwierając ramiona*).
Och pójdź!

PANNA (*przestraszona*).
Ach! kto ty?

ONDYNA.
Jam z fali tój siniej.

PANNA.

Ondyna! jakto! istnieją Ondyny!
Więc to nie bajka! ach ja nieszczęśliwa!
Wodnica tu żyje i ludzi porywa,
Puść mię, ach puść mię!

ONDYNA (*perswadując*).

Wszak nudno we dworze,
A u mnie cudownie śnić w srebrnym jeziorze!
Przykre ci życie z igłą i bawełną,
Będiesz więc rybek złocistych mieć pełno,
Skarżysz się sama na troski i nudy,
Spełniże marzenia, rzuć ziemskie twe trudy! (*ciągnie ją*).

PANNA (*broniąc się na wpół z płaczem*).
Nie chcę, ach nie chcę! wtém co się mówiło
Prawdy, rozsądku, ni sensu nie było;
Czasem co mówim, nie wiemy my sami,
Ale teraz widzę, bom mądra po szkodzie,
Że lepiej żyć z ludźmi, niż z tobą śnić w wodzie
Bóg do pracy stworzył nas... (*wyrywa się nareszcie i ucieka*).

ONDYNA (*patrząc za nią żałamuje ręce*).

Ot natura,
Jak to ciągnie w las!...
Już myślałam, że się uda
Zwabić tę do toni,
Marzą jej się moje cuda,
Jednak mi się broni.
Będę cierpliwa, wszak na tym przesmyku
Ludzie przechodzą codziennie bez liku,

Ukryję się jeszcze, a może też kogo
Namówię, by dzielił niedolę mą srogą.

(Ondyna ukrywa się znowu, w oddali słychać śpiew, młody parobczak Krakowiacek nadchodzi z siekierą i wiązką drew na ramieniu, śpiewając:)

KRAKOWIACEK.

Krakowiacek ci ja, wesoły i śmiały,
Dam se radę wszędy, nocką czy w dzień biały,
Nie boję się wcale niczego na świecie,
Bo mi ciężka wina sumienia nie gniecie.
Jak gdzie będę widzę, to się jęć użalę,
A dla nieszczęśliwych, skoczyłbym choć w fale!

ONDYNA (*wybiega ku niemu*).

Pójdź! bo nieszczęśliwam!

KRAKOWIACEK.

A to co za lichy?

ONDYNA.

W fali tój przebywam
Setki lat już cicho!
Ustron moja miła,
Lecz się nudzę srogo,
Więcem umyśliła
Zwabić z ludzi kogo:
Ty coś taki śmiały
Taki jest pocciwy
Pójdź do srebrno-białej,
Szmaragdowej niwy!... (*pociąga go ku jezioru*).

KRAKOWIACEK (*zdejmuje drwa, i składa wraz z siekierą*)

Z największą ochotą, kiedyś biedna taka,
Tylko powiedz, czy ty tańczysz krakowiaka?

(Śpiewając, pociąga ją w taniec zdumioną i opierającą się).

Bo bez krakowiaka już ja nie wyżyję,
Tańczę nawet w biedzie, i hołupce biję!
Aha! ty nie umiesz widzieć krakowiaka!
Teraz się nie dziwię, żeś żałosna taka.
Otóż ci poradzę, kiedy ci się nudzi,
Pójdź się uczyć tańca i pracy od ludzi.
Będiesz prząść len biały, albo paść owieczki
Pójdź! ja cię powiodę, do mojej mateczki,
Zobaczysz, że jak się wdrożysz w nasze trudy,
Zaraz ci odlecą twe próżniacze nudy.

(Ondyna przerażona wyrwa się nareszcie i ucieka ku jezioru, wołając).

ONDYNA.

Do wody! do wody! wprzód prześnię sto lat,
Nim wyjrzę z méj toni, ze srebrnej na świat!

KRAKOWIACEK (*wybuchu śmiechem*)

Ha ha ha ha ha ha! tom się zbył jęć wczas!
Patrzcie jak natura ciągnie wilka w las!

(Bierze napowrót na ramię drzewo i siekierę, i odchodzi z wolna śpiewając).

Tak ci to już mądrze dobry Bóg stanowi,
Że lepiej jest w kniei każdemu wilkowi,
Pamiętajcież ludzie, kochać swoje chaty,
Szczęście w domu siedzi, nuda gna za światy.

M..a.

CYGANIE.

Pochodzenie ich i wędrówki w Europie.

Cyganie, po całym świecie niemal rozsypani, wszędzie się wybitnie wyróżniają od ludności miejscowej, chociaż powierzchownie stosują się do obyczajów każdego narodu, wśród którego przebywają, z łatwością przyswajają sobie język krajowy, a nawet bez żadnego wstępu spełniają przepisy religii panującej. Osobliwsze to plemię od niepamiętnych czasów ciągle wędruje, nigdzie się stale nie osiedli, tylko na krótko rozkłada swoje namioty, zwykle dość niezyczliwie jest przyjmowane i niekorzystne wspomnienie po sobie zostawia, gdyż od czasów najdawniejszych słynęli Cyganie z nieszczęsnej skłonności do kradzieży i oszustwa wszelkiego rodzaju.

Pochodzenie Cyganów dopiero w ostatnich czasach zostało rozjaśnione przez uczonych. Nie ulega wątpliwości, że lud ten przywędrował do Europy z Indyj, pierwotnej swojej ojczyzny; prawdopodobnie są to biedni Paryasi, tak nazywają w Indjach kastę pogardzaną, wyłączonej ze społeczeństwa, skazaną na najokropniejsze upokorzenia. Musieli uciec przed jakimś większym prześladowaniem, a w jakim czasie koczownicze te hordy pojawiły się po raz pierwszy w Europie, o tém nie mamy dokładnych wiadomości.

Ślady ich najwcześniej, bo już w XIV wieku odnajdują się w Europie południowo-wschodniej, w Grecyi, w Mołdawii, a następnie w Węgrzech i Czechach. Ztamtąd dopiero później nieco, w XV stuleciu, puscili się na zachód, do Francyi, gdzie im nadano z tego powodu nazwę *Bohémiens* czyli Czesi. Niektórzy historycy nasi przypuszczają, że w Polsce Cyganie już na dwa wieki wcześniej byli znani, a na dowód przytaczają dokument z czasów Bolesława Wstydlwego, w którym jest wzmianka o jakichś cudzoziemcach, zwanych *szalasami*. Nazwa ta zdaje się oznaczać ludzi, mieszkających w szałasach, namiotach, mogła jednak stosować się i do innych koczowniczych plemion, zapuszczających się tu w owych czasach od Wschodu.

Wyraźniejszą wzmiankę o Cyganach znajduje my w opisie podróży mnicha irlandzkiego, który zwiedzał wyspę Krete (Kandyą) w r. 1322. „Wdzieliśmy tam, powiada, naród żyjący za miastem, który oddaje cześć Bogu chrześcijańskiemu i sam o sobie powiada, że pochodzi od Chama. Ludzie ci rzadko kiedy, a nawet nigdy nie pozostają dłużej na jednym miejscu, jak 30 dni. Są oni jakby pod jakąś klątwą niebios, tułają się rozproszeni,

błądzą, od jaskini do jaskini, lub przenoszą z miejsca na miejsce namiociki swoje niskie, czarne, jak u Arabów. Niepodobna mieszkać z nimi, gdyż wszędzie, gdzie tylko się rozłożą, zbiera się zaraz mnóstwo brudu i robactwa”.

W opisie tym łatwo poznać Cyganów. Dokładniejsze jeszcze mamy wiadomości o obecności tego ludu na wyspie Korfu w drugiej połowie XIV wieku. Różne dokumenta pozostałe z tego czasu, gdy wyspa ta była w posiadaniu Wenecyan, wspominają o ludziach, zwanych *Acingani*.

W tymże samym czasie Cyganie żyli na Wołoszczyźnie w stanie poddaństwa, jak o tem świadczą także dawne, wiarogodne dokumenta. Do niedawna jeszcze utrzymywało się to poddaństwo na Mołdawii, gdzie Cyganów obliczano i sprzedawano na szalasy. A trzeba dodać, że wszystkie te starożytne dokumenta wyrażają się o Cyganach, jako o ludziach dawno i powszechnie znanych; ztąd wnosić można, że już w XIV wieku nie byli oni wcale nowymi przybyszami na wyspach greckich, w Peloponezie i Mołdawii. Przywędrowawszy ze Wschodu, nawykli do cieplejszego klimatu, trzymali się z razu w okolicach półwyspu bałkańskiego, nie posuwając się ku północy.

W kronikach historycznych z XV wieku znajdują się bardzo ciekawe szczegóły o Cyganach, którzy w tym czasie dość rozgłośną rolę odegrali w zachodniej Europie. Przy końcu r. 1417 wolne miasta nadbałtyckie niespodzianie zaniepokojone zostały niezwykłym najazdem. Liczna gromada ludzi całkowicie obcych, o twarzach ogorzałych, włosach czarnych, postaciach dziwacznych, pojawiała się kolejno przed murami Hamburga, Lubecki i innych miast hanzeatyckich, wzbudzając wszędzie podziwienie, a nawet pewną trwogę. Pośrodku szły wozy, przez osły lub muły ciągnięne, na nich jechały kobiety z młodszymi dziećmi; obok wozów postępowali pieszo mężczyźni. Ubiór tych cudzoziemców był dziwnym połączeniem nędzy i brudu z błyszczącymi ozdobami i resztkami wschodniego przepychu. Obszerne fałdzone płaszcze, o świetnych jaskrawych barwach, szychem naszywane, u innych płachty różnobarwne, zwieszające się z ramion, przykrywały osmolone łachmany. Starsze dzieci, obdarte i rzczochrane, rozbiegały się bezładnie po drodze, wabiąc przechodniów rozmaitemi łamanymi sztukami.

Na czele tej karawany dwaj wodzowie, przybrani w szaty niemniej dziwaczne i jaskrawe, ale daleko kosztowniejsze, jechali na koniach, suto obwieszonych złocistymi ozdobami. Za nimi, nakształt dworskiego orszaku, postępowало kilkuset jeźdźców, prowadzących psy na smyczy, ale zwierzęta te, nędzne i wychudłe, co chwila rwały

się na widok drobiu domowego, widocznie na wzór swych panów więcej nawykłe do rabunku, aniżeli do polowania. Wodzowie nadawali sobie szumny tytuł książąt małego Egiptu, a lud swój nazywali *Sikane*, zktąd powstało niemieckie *Zigeuner* i polskie Cygan. Pospólstwo jednak przez czas długi zwało ich Tatarami z powodu koczowniczych obyczajów.

Cudzoziemcy ci przedstawiali wszędzie władzom miejscowym list bezpieczeństwa, rodzaj pasportu, wydane go przez cesarza niemieckiego Zygmunta. Dokument ten polecał opiece wszystkich wiernych poddanych cesarstwa dwóch książąt małego Egiptu, Michała i Andrzeja, odbywających z licznym swym poczem pobożną pielgrzymkę, jako pokutę nałożoną im przez biskupów za grzechy ojców, którzy odstąpili od wiary chrześcijańskiej. Niektórzy historycy podejrzewali, że podpis cesarza był sfałszowany, ale prawdopodobniej chytry Cyganie udaną pobożnością wyłudziili sobie rzeczywiście tę łaskę u łatwowiernego monarchy. Ze względu na tak wysoką opiekę, obywatele wolnych miast przyjęli z razu bardzo uprzejmie tych niezwykłych gości; wkrótce jednak nadużycia rozmaitego rodzaju, a zwłaszcza ustawiczne przekroczenia przeciw siódmemu przykazaniu, spowodowały gwałtowne zatargi pomiędzy władzą miejscową i pokutnikami. Niesforna banda musiała się ratować ucieczką; powędrowała tedy do środkowych Niemiec, gdzie jednak nie przestawała broić po swojemu i znów haniebnie została wygnana, w końcu zwróciła się na zachód i dnia pewnego pojawiła się pod murami Zurychu.

Dobroduszni Szwajcarowie z wielkiem współczuciem powitali pobożnych pielgrzymów, wierząc na słowo, że w duchu pokuty odziewali się w łachmany, gdyż mieli kieszenie porządnie naładowane złotem. Cyganie bawili wówczas w Zurychu jeden tydzień tylko i przez ten czas potrafili utrzymać dobrą o sobie opinię u mieszkańców, wszędzie bowiem płacili gotówką, złotem i srebrem, co zapewne dla tego im z taką łatwością przychodziło, że musieli przedtem po drodze napotkać sposobność do jakiejś korzystnej a podejrzanej wyprawy. Potrafili też wmówić w poczciwych Szwajcarów, że te fundusze pochodziły z bogatego skarbcza małego Egiptu, a rzecz dziwna, że w owych czasach nikt nawet nie zapytał o geograficzne położenie tej zagadkowej krainy.

Opuszczając Szwajcaryą, wędrowcy rozdzielili się na dwie bandy. Jedna wkroczyła do Francji, nawiedziła miasto Sisteron w Prowancyi, trwożąc spokojnych mieszkańców, którzy na widok tych *muzułmanów*, jak ich nazywa ówczesna kronika, wynieśli im natychmiast sto bochenków chleba,

blagając tylko, żeby jaknajśpieszniej dalej wędrowali. Druga gromada liczniejsza, pod dowództwem samych książąt, powlekła się na północ, jak szarańcza przebiegła Alzacyą, i zatrzymała się w Norymbierdze, gdzie także bardzo niekorzystne została po sobie wspomnienie.

Tymczasem minęło lat kilka, cesarz Zygmunt umarł i list jego utracił swoje znaczenie. Już dawno ludzie wierzyć przestali w usposobienie pokutnicze pielgrzymów, ale wodzowie cygańscy, mieniący się książętami, niepospolitym sprytem i chytrością obdarzeni, obmyśliли nową łapkę na łatwowiernych. Pozbierawszy rozproszone swe bandy, rozłożyli obóz w Szwajcaryi, gdzie czuli się najbezpieczniejsi, a ztąd wysłali poselstwa do Rzymu pod wodzą księcia Andrzeja, który miał polecenie wszelkich starań dołożyć, ażeby dotrzeć aż do Ojca Ś-go i wyłudzić sobie nowy list bezpieczeństwa. W rzeczy samej w r. 1422 Cyganie pojawili się w Rzymie, a w latach późniejszych wędrowali znowu po całej Europie, pokazując wszędzie list otrzymany od Stolicy Apostolskiej, w którym pobożni pielgrzymi poleceni byli opiece i miłosierdziu wiernych. Dokument ten mógł być sfalszowany, ale znając zręczność i układność Cyganów, można przypuszczać, że potrafili udaną pokorą i pobożnością zjednać sobie którego z dygnitarzy papieżkiego rządu i celu swojego dopięli, témbardziej, gdy odwołali się do świadectwa niezjącego cesarza Zygmunta.

Przygody księcia Egiptu w Rzymie nigdy nie były opisane, zkąd wnosić można, że się tam dosyć skromnie zachowywał. Za to pewien kronikarz zostawił dokładny i obszerny opis bytności wędrowniej bandy w Bononii. Podajemy wam tu ustęp z tej kroniki, wybornie malujący obyczaje Cyganów.

„Dnia pewnego, miesiąca Lipca r. 1422, niejaki książę Egiptu, imieniem Andrzej, przybył do Bononii, wiodąc za sobą gromadę mężczyzn, kobiet i dzieci swojego narodu, w liczbie około 100 osób. Książę ten odstąpił był od wiary chrześcijańskiej, za co król węgierski zawojował jego państwo i zabrał go w niewolę. Później książę oświadczył królowi, że chce znowu chrześcijaninem zostać i ochrzcił się razem ze znaczną częścią swojego ludu w liczbie przeszło czterech tysięcy. Gdy tedy król węgierski ochrzcił ich na nowo, rozkazał im wędrować po świecie przez lat siedm, potem zająć aż do Rzymu, przedstawić się Papieżowi i powrócić do rodzinnego kraju. Gdy przybyli do Bononii, pielgrzymka ta trwała już od lat pięciu i połowa ich przez ten czas wyginęła. Noszą oni przy sobie dekret króla węgierskiego, który jest zarazem cesarzem, a dekret ten upoważnia ich do kradzieży,

bez żadnej odpowiedzialności lub kary, bez względu na przeszkodę, na każdym miejscu i przez cały czas trwania siedmiu lat“.

Trudno się od śmiechu powstrzymać, czytając te brednie, które przemysłni i dowcipni pielgrzymi potrafili wmówić w łatwowiernych; zwłaszcza ten bezprzykładny przywilej, pozwalający pokutnikom kraść na każdym miejscu, dowodzi nadzwyczajnej czelności Cyganów. Ale posłuchajmy dalszego opowiadania tegoż samego kronikarza:

„Cała ta gromada bawiła tu przez dni piętnaście, a mnóstwo osób odwiedzało żonę księcia, która uchodziła za czarodziejkę, przepowiadała przyszłość i odsłaniała każdemu jego losy, a także odgadywała, ile kto miał dzieci, czém się trudnił itd. Z tych wszystkich, którzy po te wróżby chodzili, mało kto powracał cało, aby mu nie zrabowano worka z pieniędzmi, lub części ubrania. Kobiety z tej bandy przebiegały miasto gromadkami od sześciu do ośmiu, wchodziły do domów i odwracały uwagę prózną gadaniną, a jedna chwytła tymczasem co tylko jej wpadło pod rękę. Chodziły także po sklepach, udając, że chcą kupować różne przedmioty, ale to tylko dla tego, ażeby łatwiej coś schwycić i mnóstwo było przez ten czas kradzieży w Bononii. Są to najzręczniejsi w świecie złodzieje. Mieszkańcy miasta musieli się wziąć na ten sam sposób dla odzyskania swoich strat. Kilku Bonończyków wsunęło się w nocy do stajni, gdzie owi Sikane trzymali swoje konie i najpiękniejszego uprowadzili pokryjomu. Tamci więc dla odzyskania konia musieli oddać naszym mieszkańcom mnóstwo skradzionych przedmiotów. Później, nie mogąc już więcej rabować, odjechali do Rzymu. Trzeba dodać, że wyglądali okropnie; nigdy u nas nie widziano ludzi tak szpetnych, nędznych, czarnych i żywiących się nakształt nierogatego bydła. Kobiety noszą płaszcze zarzucone na plecy, a pod spodem brudne kaftaniki, przytém błyszczące kolczyki i długie zasłony na głowie“.

O pochodzeniu Cyganów różne w tych dawnych czasach krążyły wieści; oni sami najdziwaczniejsze baśni o tém rozsiewali. Chcąc usprawiedliwić swoje włóczęgę, mienili się wygnańcami, oskarżając o przemoc, to sułtana egipskiego, to znów węgierskiego króla; raz chcieli uchodzić za chrześcijan odstępców, to znów za nawróconych pogan. Pospólstwo wytworzyło sobie o nich podobną legendę, jak o żydzie wiecznym tułaczem. Opowiadano więc, że przodkowie ich odmówili niegdyś gościnności S-tój Rodzinie w Egipcie, za co potomstwo na wieczne tułactwo zostało skazane. Historycy także snuli o tém różne domysły i baśni nieprawdopodobne. Jedni chcieli wyprowadzić ród Cyganów od wędrownych kapłanów Izdy,

egipskiej bogini, drudzy upatrywali w nich jakieś plemię, uchodzące z niewoli egipskiej w ślad za Izraelitami, rodzaj maruderów, włokących się za ludem Bożym.

Trudno wytłómaczyć, dla czego Cyganie przybierali sobie tę nazwę Egipcyan, lub ludu Faraona (Pharao-nepek). Nowsze poszukiwania wykazały, że nie mieli nigdy dłuższej lub ściślejszej styczności z Egiptem, aniżeli z innemi krajami, gdzie wiedli żywot swój tułaczy. Nizkie, okopcone szałaszy cygańskie chwilowo tylko koczowały nad brzegami Nilu, tak samo, jak nad brzegami Wisły, Dunaju, lub Tamizy i żadnych trwałszych śladów nie pozostawiły tam po sobie.

Wkrótce po tej wycieczce Cyganów do Włoch, ślad ich zaczął się zacierać w Europie; może się z nimi oswojono, może też skromniej i ciszej sprawować się zaczęli, dość, że zupełnie o nich mówić przestano i w kronikach historycznych nie znajdując się żadne wzmianki o wędrownikach osobliwszego tego ludu. Ale w r. 1438 nowe bandy, daleko liczniejsze, zaczęły napływać do Europy zachodniej. Było to właśnie w czasie podbojów muzułmańskich, oni to wyparli Cyganów z półwyspu bałkańskiego, gdzie zapewne oddawna spokojnie sobie przebywali. Teraz już nie setki, lecz tysiące tej hołoty ciągnęły przez wsi i miasta, a wódz ich główny nie tytułował się już księciem, ale królem (Zindl). Niesforna ta tłuszcza rozlała się na wszystkie strony, wszędzie jęć było pełno, w Niemczech, we Francji, we Włoszech i w Hiszpanii, a wszędzie dała się dobrze wa znaki ludności miejscowej. Cyganie nigdy nie mieli ochoty do pracy, woleli łatwe zarobki, najczęściej też trudnili się różnemi podejrzanemi rzemiosłami, kuglarstwem, oszustwem lub kradzieżą. Gdzie tylko szajki rabusiów, podpalaczy, złoczyńców wszelkiego rodzaju, postrach roznosiły po okolicy, tam zawsze rej wodzili Cyganie. Niedarmo też wszędzie ich oskarżano o wykradanie dzieci, które wyuczali zwykle różnych sztuk łamanych, a czasem nawet okaleczali dla wzbudzenia litości i wyłudzenia datków.

Wszystkie te bezprawia ściągnęły na nich powszechną wzgardę i nienawiść, a co gorsza srogie prześladowania. We wszystkich prawie krajach europejskich Cyganie wyjęci byli z pod prawa, to znaczy, że nikt nie odpowiadał za krzywdy, które im wyrządzał i mógł bezkarnie ich nawet zabijać.

W Polsce, gdzie wszyscy uciśnieni i wygnańcy zawsze gościnne znajdowali przyjęcie, i Cyganom lepiej się wiodło niż w innych krajach. Hordy ich, uciekając od prześladowania w Niemczech, przybyły do Polski w r. 1501 pod wodzą Wasyla naczelnika, którego zwały wojewodą lub wojdą. Odwoławszy się do opieki króla Aleksandra Jagiel-

łończyka, otrzymali pozwolenie osiedlania się w całej Rzeczypospolitej i rządzenia się według własnego obyczaju. Na nieszczęście Cyganie nie umieli korzystać z tak pomyślnego położenia. Wnet z ościennych krajów napływać zaczęło do Polski i Litwy mnóstwo włóczęgów rozmaitego rodzaju, do kradzieży i wszelkiego bezprawia nawykłych, a sprawy ich i tu wywołały powszechne oburzenie, tak, że już w r. 1557 uchwalono na sejmie wyrok wygnania na całe plemię cygańskie. Wyrok ten jednak nie był nigdy z całą srogością wykonany i wkrótce złagodzone tę ustawę, stosując ją tylko do włóczęgów, którym jakieś przestępstwo dowiedzionem zostało.

Łagodne to obejście bardzo dobroczynny wpływ wywarło na Cyganów, którzy nigdzie tak chętnie nie dali się nakłaniać do spokojnego życia, jak na Litwie, gdzie mnóstwo pozakładali osad, trudniąc się rzemiosłami, głównie kotlarstwem, ślusarstwem i sztuką konowalską. Znaczna ich liczba zlała się z czasem zupełnie z ludnością miejscową. Zawsze jednak główne bandy zachowywały odrębny obyczaj własny, strój dziwaczny, zamiłowanie wędrowek i obierały sobie naczelnika, którego nazywały królem.

Od czasów Zygmunta Augusta Cyganie wybierali swych królów ze szlachty polskiej; zatwierdzała tych władców kancelarya królewska w koronie, a na Litwie książęta Radziwiłłowie, w dobrach ich bowiem, głównie w okolicach miasteczka Miru, mnóstwo było osiedlonych Cyganów. Przy końcu XVIII wieku królował tym mirskim osadom Jan Marcinkiewicz, szlachcic okazałej postawy, bardzo zamożny, mógł więc z wielkim przepychem występować na czele cygańskiej bandy, której to bardzo pochlebiało. Gdy naprzykład z licznym swym poczem jechał na jarmarki do miast okolicznych, wjazd jego był prawdziwie tryumfalnym pochodem. Przodem jechali konno śpiewacy i muzykanci, bijąc przeraźliwie w kotły, za nimi postępował król na dzielnym koniu, w suty rząd przybranym. Marcinkiewicz strój nosił na wpół polski a na wpół cygański, jaskrawy i okazały; kontusz krótki, szarawary ponsowe, buty żółte lub karmazynowe, kołpak barankowy ze złocistemi kutasami, a w rękawie szabli bizun z bogatemi złotemi i srebrnymi ozdobami, zastępujący berło u cygańskich królów. Za nim jechała świta, licząca do stu koni. Orszak królowej niemniej był okazały. Ona sama, strojna w jaskrawe materye jedwabne, aksamity, kosztowne perły i kamienie, jechała na rydwanie w ośm koni ciągnionym, w towarzystwie Cyganek, także jaskrawo i bogato przybranych. Wokoło rydwanu, na małych konikach, jechały młode Cyganeczki w pstrych i dziwacznych strojach.

Jednocześnie z owym Marcinkiewiczem nad inną hordą na Litwie panował szlachcic Znamierowski, o którym opowiadano, że nadzwyczajnym męstwem i odwagą zdobył sobie tytuł i władzę królewską. Gdy raz banda cygańska skradła mu jedynego konia, szlachcic, dobrawszy sobie w pomoc dwóch wiernych cyganów, puścił się za nią w pogoń, a dogoniwszy, tak dzielnie uderzył na liczną gromadę, że potrafił z dwoma tylko towarzyszami rozbroić i powiązać wodzów, wszystkim strachu napędzić i odbić nakoniec swojego konia. Cała horda, przejęta uszanowaniem i przesadną trwogą, poddała mu się z pokorą i przysięgła posłuszeństwo.

Ostatnim królem cygańskim w Polsce był Miłośnicki, także szlachcic, a ten w r. 1799 wywędrował z całą swoją bandą do Turcyi. Syn Marcinkiewicza, odziedziczyszy godność królewską po ojcu, przeniósł się podobnie do Mołdawii. K. Wł. Wojcicki zebrał w *Przysłowiach narodowych* wyrażenia i przysłowia polskie, które powstały ze styczności z Cyganami. Tak naprzykład *cyganić* znaczy toż samo, co oszukiwać na koniach, bo też dawniej, gdy Cyganów więcej było w kraju, handel końmi prowadzony był przez nich na wielką skalę. Umieli oni wybornie się z niemi obchodzić i leczyć w potrzebie, ale też nikt zręczniejszy nie potrafił przyprowadzić zębów i grzywy, przeфарbować sierści i ukryć każdego kalectwa, a tak obalamucić kupującego, że ani się spostrzegł na oszustwie. To zamięłowanie Cyganów do koni i w innych językach podobne ślady pozostawiło. Wyraz angielski *Jockey* także pochodzi z mowy cygańskiej.

Z tych licznych band cygańskich, które w XV wieku zalały Europę, dziś już tylko resztki pozostały. Część wytepiły prześladowania, później, gdy z postępem cywilizacji i złagodzeniem obyczajów i Cyganie zaczęli być bardziej po ludzku traktowani, znaczna ich liczba, tak jak u nas na Litwie, osiadała stale po wsiach i miasteczkach i zlewała się z ludnością miejscową. W ostatnich czasach zaczęli też coraz liczniej przenosić się do Ameryki i snują się tam bandami, szczególnie na rozległych przestrzeniach zachodnich Stanów Zjednoczonych. Ale i w Europie niema prawie ząbka, gdzieby kiedykolwiek nie pojawiła się zgraja nędznych, osmolonych włóczęgów, a zawsze wyglądają tak samo, jak ci przodkowie ich, o których pisały stare kroniki; zawsze kobiety z rozwianym włosiem czarnym, w jaskrawych płachtach zwieszających się z ramion, chodzą po domach, wróżąc i żebrząc, a ukradkiem chwytają co mogą, mężczyźni wodzą niedźwiedzie lub małpy, a dzieci różne łamane sztuki pokazują.

Najwięcej jeszcze Cyganów pozostało w Moł-

dawii i Węgrzech, gdzie szczególnie odznaczają się, jako zdolni muzykanci. Cyganie zawsze słynęli ze zdolności do muzyki. Kobiety bywają często niepospolitemi śpiewaczkami, mężczyźni grają na różnych instrumentach, pomiędzy którymi zawsze muszą być cymbały i drumla. Orkiestry wędrowne cygańskie ulubione są w Węgrzech po dworach i miastach.

TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

(Dalszy ciąg).

— To jak brat powiadasz o tych słupach? — zapytał Jan, siadając zwykłym sposobem na sofie koło brata.

Marek zamiast odpowiedzi odwrócił kartę książki i czytał co następuje, a czytał jak napisał w tureckim języku: „Na środku greckiego hippodromu, dziś tureckiego Atmeydanu, stojący słup spiżowy, niegdyś w świątyni Apollina w Delfach wspierał trójnog temu bóstwu poświęcony; miał ten słup trzy węzowe głowy, lecz Mahomet II, wjeżdżając zwycięsko do Konstantynopola roku 1453, głowę jedną węzową z konia czekaniem uciął, uważając słup ten za bożyszcze, cesarzom greckim przychylny *)..

Marek przestał czytać i dwaj bracia popatrzyli sobie w oczy znacząco, przez długą chwilę, starszy smutno potrząsł głową i rzekł, odpowiadając oczywiście na myśl jakąś, wyczytaną w oczach braterskich, a wzdychając ciężko:

— Oj nie! nie!... Gromić ich, zwyciężać w bitwie, może się wyuczmy, gdy obok innych wiadomości, zrozumieliśmy już i rozumiemy coraz lepiej ich wszystkie sztuki i całą taktykę wojenną, mając ją tu codziennie rozwiniętą przed oczyma na tym placu; ale wierz mi, waszmość bracie, że rolę Mahometa II-go odegrać nie nam tu jeszcze przypadnie!...

— I dla czegożby nie?... — spytał żałośnie Jan zasmucony.

— Dla tego, czego i ja nie rozumiałem, dopóki nie zajrzałem w oczy potworze tu, w tém jej przywłaszczoném gnieździe; dla tego, że ona ma siłę, jakiej my mieć nie możemy, i nią nam się oprze, siłę, jaką ma tłum dusz ślepo jednej, jedynej woli poddany; z taką tylko siłą na rozkazy gotową można dokonać tego, czego Mahomet II-gi dokonał.

— A... przecież i u nas zdarza się, że gdy wódz umie do serc przemówić, serca te w ogień

*) Mniej więcej w sto lat po tej rozmowie odłamano i dwie pozostałe głowy węzowe na szczycie słupa onego.

i wodę idą za nim! A godniejszym jest przecież wolnego człowieka taki zapal serdeczny, niż podobny tureckiemu fanatyzm! bezmyślny! — Tak mówił Jan z zapalem.

— Tak, piękne to i zdarza się, ale nie trwa! — smutno Marek odrzekł — z takim chwilowym zapalem można w pojedynczej bitwie sześć razy liczniejszego nieprzyjaciela zwyciężyć, ale już nawet korzystać umiejętnie z tego zwycięstwa nie podążysz przed wygaśnięciem zapalu, a cóż już mówić o regularnej wojny prowadzeniu? przypomnij sobie Cecora, bracie...

Jan wstał i do żywego wzruszony jak chodził tam i napowrót po salonie:

— Od czasu, jak tu bawimy — mówił jakby do siebie — staraliśmy się zużytkować każdą chwilę w celu, jaki nas tu przywiódł; z wielkimi trudy na nasze próby zaledwie udało się panu podkomorzemu lwowskiemu wyrobić u Turków, aby w tym pałacu wyznaczili poselstwu naszemu mieszkanie, a nie na przedmieściach w *Pera* lub *Galaczu*, jak zwyczaj dla wszystkich poselstw, a gdzie nicbyśmy widzieć ważniejszego nie mogli, i czyliż teraz, poznaawszy bliżej to, cośmy poznać chcieli, przyjdzie nam ręce opuścić?

— Nigdy! nigdy rąk opuszczać nie należy! — z mocą Marek odpowiedział — przeciwnie, dalej roztwierajmy co najszerzej oczy, a uczmy się, co tylko do nauki się nadarzy, ale to wiemy, że zadaniem naszym osobistym będzie tylko częściowo, i dorywczo potwór ten osłabiać, pazury i kły mu wrywać, i doprowadzić go do zachwiania tej wiary, jaką on ma w sztandarze proroka, w ręku sułtana rozwiniętym; gdy ta wiara się zachwieje pod naszymi ciosami, wtedy potwór sam przez się bezsilnym zostanie; ale marzyć o rzucaeniu się nań wprost, i o roli Mahometa II-go, wierz mi, to próżno, bracie, próżno wodzowi polskiemu, który musi podwójną zawsze walkę przedsiębrać: z nieprzyjacielem i z własną braci niesfornością. Ale nie martw no się waszmość słowy temi, które dla tego właśnie wymawiam, aby kiedy niespodzianie prawda ich na cię nie przyszła, a do opuszczenia rąk nie przywiodła. Czyśmy co możemy i cośmy powinni, reszta w ręku Boga. A teraz pójdę ja do pana podkomorzego po rozkazy, jako zlecone mam w tej godzinie, a brat zapisz tymczasem z porządku wrażenia swe wczorajsze w tej księdze.

Jan uspokojony trochę w swém zmartwieniu pobożnemi słowy swego starszego, przyjął odeń księgę uprzejmie, ale sadowiąc się z nią na sofie do pisania, nie mógł się wstrzymać, by nie zakląć okrutnie na czém świat stoi Turków przeklętych, psich i pogańskich synów, którzy nawet porządnego, jak się patrzy, stołu nie mają, przy którymby

szlachcic mógł do uczciwego zasiąść pisania. Pisał jednakże Jan dość długo już, śpiesząc się, by wszystko poprzednie żniwo wiadomości swych na papierze utrwalić, nim po nowe wraz z całym poselstwem tegoż dnia jeszcze do sułtana na posłuchanie się uda, gdy wtém Marek ukazał się znowu u wejścia, w którym znikł przed godziną, ale wszedłszy stał w miejscu nieruchomy, patrząc na piszącego brata; Marek był jak zawsze spokojny na pozór, w ręce miał otwarty list, a oczy niebieskie i niebieskim tchnące wyrazem pełne były łez srebrzystych.

— Co to jest?... — spytał Jan, popatrzwszy na brata uważnie. Zeskoczył z sofy i przystąpił doń blisko.

— Złe wiadomości — szepnął Marek, podając mu list — król Władysław IV umarł; kozactwo, rzecz nie do uwierzenia, zbuntowało się; zawarło przymierze z Ordą krymską; i grozi całej Rzeczypospolitej, a najprzód ruskiej naszej rodzinnej ziemi; boć z tej strony, jak zwykle, Tatar godzi na Polskę.

Jan nie czytał, spojrzał tylko na list, poznając własnoręczne pismo kasztelanowej matki.

— Trzeba jechać do domu, tam nasze miejsce — rzekł drgającym głosem.

— Trzeba jechać — potwierdził Marek.

Nie czekano dłużej, niż konieczna wymagała potrzeba, aby otrzymać papiery i oznaki, mające zabezpieczać o ile można w podróży dwóch członków poselstwa polskiego, wracających do ojczyzny z rozkazu posła, podkomorzego lwowskiego Miastkowskiego, i w sprawach poselstwa. W takim charakterze młodzi Sobiescy konno, z kilku sługami tylko, wyjechali z pałacu poselstwa już w parę godzin po wyżej opisaną rozmowę. Przejeżdżając przez Atmeydan, westchnął Jan ciężko, spojrzawszy po raz ostatni na słup węzowy dwugłowy, któremu trzecią głowę czekana Mahometa II-go uciął... Potém jechano dalej w milczeniu po niegodziwych, nieporządknie utrzymanych ulicach, wązkich i ciemnych, bo z wysuniętymi naprzód górnymi piętrami domów. Jedna czy dwie kolasy aksamitem wybite, dość podobne do używanych wówczas w Polsce, minęły w szerszych trochę ulicach naszych podróźnych, a zaprzężone do tych kolas bawoły powiozły zasłonięte bogate Turczynki, kędyś, do łaźni może. Ale gdy wjechano na ulicę, prowadzącą od meczetu Św. Zofii aż ku morzu, kręta i w niektórych miejscach ledwo półtora sążnia szeroką i bardzo ciemną, i wiecznie zatłoczoną ludem, gdzie już nie zmieściłaby się kolasa, tam i nasi podróźni noga za nogą zmuszeni byli postępować. Jednakże zwiększony ruch już bliskość morza zwiastował, gdy z tłumu przechodniów stłoczonych

i ocierających się o Janowego konia, nagle błyskawicznym gestem wysunęła się ręka w kindżał zbrojny i w pierś Jana nim ugodziła; jakim cudem w ciemności i natłoku zdołał Marek, tuż koń za koniem jadący, szablą w tę rękę zbrodniczą w czas

Jana odzienie, i znikł w tłumie tak samo, jak się pojawił. Mała kawałcata przyspieszyła kroku, ile się dało. Marek wychylił się z siodła ku bratu.

— Ramy?...

— Nie.

A. Piotrowski.
TEMESWAR.



Cyganka węgierska (str. 259)

ciąć, to już chyba tylko bratnia jasnowidząca miłość wytłómaczyby potrafiła. Krzyk dał się słyszeć, i kindżał wraz z ręką opadł gwałtownie, rozdzierając tylko grube sarmackie na piersiach

— Spieszmy!

Taka krótka i cicha odbyła się między braćmi rozmowa, po której w kilka minut wyjechano przecież szczęśliwie z ciemnej owjej pułapki na

cudnie piękny, opromieniony słońcem złocistém, umajony, ukwiecony i ludny brzeg Bosforu, gdzie jużby nie śmiano targnąć się na życie członków poselstwa polskiego, opatrzonych we wszelkie sułtańskie papiery, zapewniające im bezpieczeństwo w przejeździe przez jego państwo. Łódź wązka, długa, niezmiernie chyża, tak zwany *Kaik*, zawiózł Sobieskich do stojącego opodal gotowego do drogi okrętu. Musiano wracać tą samą drogą, którą się do Stambułu przybyło, gdyż bliższą lądową może już tatarstwo przecięło rozpuszczonemi na polskich granicach zagonami,

Okręt zwolna i majestatycznie ruszył z miejsca. Jan wsparty na pokładzie przypatrywał się po raz ostatni, nie tyle przecudnemu widokowi azyatyckich i europejskich wybrzeży, ile raczej same-mu w trójkąt zbudowanemu Konstantynopolowi, i nie myślał Jan wcale o sławionych tej okolicy krajobrazach, lecz o tém, jak i z której strony najlepiej byłoby na Stambuł uderzyć, aby doń wjechać, jak Mahomet II-gi i jak on głowę węzową na Atmejdanie uciąć... Nagle, przypomniawszy sobie ostatnią w *Salemliku* Starego-Seraju z bratem rozmowę, westchnął Jan ciężko i głowę spuścił ku ziemi. Bo zanadto miał rozumu, aby nie widzieć w słowach brata tej prawdy, jaka tylko z wrodzonych zdolności niektórych ludzi do polityki i dyplomacyi wypływa, a na których to zdolnościach Janowi samemu zbywało zupełnie. Wtém Marek, ukończywszy z dowódcą okrętu rozmowę, zbliżył się i wspierając obok Jana rzekł:

— Jegomość sułtan coś bardzo się odjazdem naszym i bezpieczeństwem w drodze kłopotał, tak, że przychodzi mi na myśl, czyli nie z jego to rozkazu był na waszmość brata kindżał ów w ciemnej uliczce skierowany?... Bo, choć pewny jestem, że tu prawdziwe nazwisko nasze nie jest znane, to przecież może sułtan nie życzy sobie, aby naoczni obecnych spraw stambulskich świadkowie zanieśli ojczyźnie niektóre wiadomości, w terażniejszych czasach zwłaszcza... Tedy, możeby się należało płazem tego nie puszczać i panu podkomorzemu się w to wdać, by zaś honor Rzeczypospolitej w osobach jej poselstwa nie był dotknięty? Oto masz waszmość list pani kasztelanowej, któren ze wszech miar godzi się waści uważnie czytać, boć on z obecnym stanem ziemi naszej nas obznajamia.

Wziął tedy Jan ów list i czytał go uważnie, a było zaprawdę co, choć wszystko smutne, w nim czytać. W samém sercu Rzeczypospolitej wrzała zamieszka bezkrólewia. W południowych stronach państwa zwycięzki już nieraz Bogdan Chmielnicki gotował się rzucić na Polskę, na czele pół miliona rozhuhanego kozactwa i tłuszczy tatarskiej.

— Co?! Bogdan! Bogdan Chmielnicki? -- za-

krzyknął Jan zdumiony — czyliżby to był ten sam Zenobi Bogdan z Subotowa w Czechryńskim? nasz prawie domownik, i ojca kasztelana przyjaciół, towarzyszy pradziada hetmana pod Cecorą, towarzyszy dziada Jana Żółkiewskiego w niewoli tatarskiej? to nie ten sam przecież!?

— Ten sam, na nieszczęście, smutno, z ciężkiem westchnieniem odrzekł Marek Sobieski.

Dwa do półtrzecia roku ledwo minęło, odkąd młodzi kasztelanice opuścili ojczyznę, a już zorientować się wśród zmian w niej zaszłych z trudnością im przychodziło.

— Ale zkądże bunt taki przyjąć mógł do głowy temu Bogdanowi, który na rękach nas nosił, z łaski rodziny naszej powstał, i żył dostatnio i swobodnie?! — pytał Jan.

— Różnie o tém mówią, a różnie też pewno na ujęcie jego i naszą, w potomności mówić będą — smutno odpowiedział Marek — ale to pewna, że nic się u nas gorszego nie działo i nie dzieje w uciskaniu kozactwa przez panów niż widzieliśmy własnymi oczyma, że dzieje się w całej zachodniej Europie; a nawet przeciwnie lepiej i swobodniej u nas jest chłopskiemu stanowi całemu, a jeszcze lepiej było kozactwu w przywileje swe opatrzonemu — a no orda krymska stoi tam za kozactwa plecami, a podbechtuje go na zgubę Rzeczypospolitej, w tém jest rzecz cała. Chmielnicki, jako z listów widać, po buławę, a i inni mówią, że po udzielne księstwo nad Ukrainą sięga, a orda nad zagarnieniem co największych łupów i zniszczeniem Rzeczypospolitej pracuje. Tedy on udaje przed ordą, iż zmuzułmaniony jest i z Koranu modlitwy przed tatarstwem słyszę odprawuje, i przed Islam-Girajem chanem przyrzeka zmuzułmanić a wierze proroka poddać lud swój cały, Ukrainę całą, a orda pomocą swą do coraz bardziej stanowczego działania go doprowadza. A co najgroźniejsza, to że nasi lekce sobie wazyli sprawę tę od początku. Tymczasem u Żółtych-Wód, ot czytaj, bracie, jaka zaszła klęska, gdzie czterysta naszego rycerstwa musiało czoło stawić dziesięciu tysiącom nieprzyjaciół. A pod Korsuniem ze wszystkiem obaj hetmani zniesieni zostali i w tatarską niewolę popadli, w czém i osobiste dla mnie prócz ogólnego, prywatne jest nieszczęście, bom to zawsze myślał panu hetmanowi Kalinowskiemu za onę krewkość wujowską, wiadomą wam bracie, o indemnizacyi krwią moją, a otom tam teraz nie był przy nim, by go przed oną zgają, jako starca osłaniać, coby jako myślę przyjemnem było panu Korsuńskiemu staroście, wujowi naszemu, gdyby żył..

Takie rozmowy wiodąc przez drogę, kasztelanice śpieszyli na obronę rodzinną ziemi, z całym

pośpiechem, na jaki stać było ówczesne środki podróźnicze. Stanęli w domu w chwili, gdy zwycięzki, chytry, bystry a niewdzięczny i mściwy Chmielnicki, stanął także ze swemi pod Zamościem, i oczekiwał tam końca rozpoczętej właśnie elekcji.

Ledwo w kilka tygodni później, o jasnym wesołym poranku, drogą od Jarosławia do Żółkwi, powolutku, noga za nogą, włókł się jeździec, widocznie *kordyaczny* *) okrutnie, a koń zdawał się najzupełniej usposobienie pańskie podzielać. A przecież, jak otaczająca okolica, tak samo jeździec i wierzchowiec piękni byli, i rycerskie mieli pozory, i w piękne byli szaty odziani, jeżeli turecki rząd wspinały i bogaty czaprak przy siodle przepyszny godzi się końską „szatą“ nazywać. Jeździec, młody i piękny, mimo lat upłynionych, mimo wzrostu i rozrostu, z nadto był podobny do „puciołowatego“ Jana dziesięcioletniego, jeżdżącego niegdyś często temi drogami, aby można było o jego tożsamości powątpiewać. Jan to Sobieski, starosta jaworowski, powracał do domu z sąsiedztwa, zły, gniewny i smutny przytém tak bardzo, że tylko rycerskie nieprzywyknienie do płaczu broniło błyszczącym łozem stoczyć się z czarnych dużych źrenic na świeże jego i okrągłe policzki. W takiem usposobieniu mijał gniewnie wozy jakieś ładowne okrutnie, i wymijany był przez licznych jakowychś jeźdźców, pachołków, posłańców, co wszystko dziwnie się jakoś snuło ruchliwie po dość osamotnionych zazwyczaj drogach tamtejszych. Krętanina ta, pokłony i pozdrowienia, gniewały coraz bardziej nachmurzonego Jana. Nareszcie, gdy w samej bramie, w Żółkwi jeszcze, spotkał się z kilku wozami, wtedy aż zaklął Jan przez zęby, po włosku, owe płaczące mu się przeszkody, i gniewnie ciskając cugle na kark Arabczycowi, aby sobie radził jak chce, sam poszedł w głąb zamku wolnym, ciężkim krokiem, prosto do owęj staréj Żółkiewskich i Daniłowicza komnaty, dziś zajmowanej przez starostę krasnystawskiego Marka.

W komnacie téj nic się od najdawniejszych czasów nie zmieniło, prócz chyba, że do dawnych ksiąg i map w szafach i na ścianach przybyły nowe. Na stole też, przeznaczonym zawsze do papierów i pisania, wznosił się teraz taki stos tych papierów ogromny, że Jan aż się skrzywił nań spojrzawszy, ile że się nigdy w papierach zbytnio nie kochał. Przy stole tym, gorliwie w papierach duchem zagłębiany, z rumieńcem prawie gorączkowym na licu, stał Marek.

— A no, panie bracie, musisz waszmość już wiedzieć nowinę, kiedy i mnie u Jarzynów doszła;

ot nieszczęście! — rzekł Jan, i stanął, załamując ręce przed bratem.

— Co? Nie wiem o czém mowa?—odparł Marek, niespokojnie głowę z nad papierów podnosząc.

— Jakto? nie wiedzielibyście, że Jan Kazimierz królem obrany, kiedy my tu w domu czas nie wiedzieć nad czém tracimy, zamiast tam być, gdzie wszyscy?—zapytał młodszy.

— To wiem, a no nieszczęście w tém gdzie? boć nie wiadomo, jak panować król Jan Kazimierz będzie?—spokojnie starszy zauważył.

— A!...—zakrzyknął Jan—to chyba nie bierzecie na uwagę, że tego to elekta życzył on zmiennik Chmielnicki, że na to on pod Zamościem czekał, że miast brać się do rzeczy, teraz rozpoczynają się układy, że wojna przerwana, i może się skończy ze wszystkim już.. a ja takem pragnął temu zmiennikowi błysnąć szabelką w oczy!

Marek spojrział bratu w załamane za przerwana wojną oczy, i rozśmiał się.

— Albo co?—żywo przystępując doń Jan zapytał.—Czy waszmość dalej a inaczej rzeczy te penetrujesz? lub też odmienne masz wiadomości? bo żeś pan brat jest daleko widzący polityk, tom się już nieraz przekonał.

— Nie—odpowiedział Marek—innych wiadomości nie mam, ani penetrować tu przyszłości bardzo umiejętnie nie potrzeba, aby widzieć, że nie płakać na owe układy należy, lecz korzystać z tego czasu raczej, gwoli przygotowania się lepszemu ku wojnie, która wnet po układach tych niemożliwych wybuchnąć musi....

Janowi na te słowa aż czarne oczy ogniem zabłysły, tak pewien był politycznego rozumu brata.

— A no, to hufiec mój dalej zbroić a ćwiczyć muszę—zawołał żywo, biorąc za czapkę—a wyznam bratu, że mi się wszystkiego odechciało było—i dążył Jan ku drzwiom, gdy ciężkie brata westchnienie zastanowiło go przy nich.

— Co to wam tak ciąży na sercu?—spytał zawróciwszy i bacznie, pełnemi miłości oczyma, patrząc w szafirowe jak niebo oczy Marka.

— Nic, jeno że te hufce, które tak cieszą was, bracie, niezmiernie małe znaczenie będą miały—rzekł tenże.

— Małe znaczenie? nasze hufce! A wskażcie mi waszmość proszę, który też z panów naszych wystawi lepsze!—z dumą i zdziwieniem razem rzekł Jan. Ale Marek smutno głową potrząsł, mówiąc ciszej:

— A wiesz też waszmość, jakiej to potęgi jest ta burza, która idzie na Rzeczpospolitą, a wedle wszelkich prawdopodobieństw spadnie najprzód tu na głowy nasze, na żółkiewskie groby?.. To Islam-

*) Kordyaczny, melancholijny, w złym humorze i smutny.

Giraj sam, chan tatarski, idzie na pomoc Chmielnickiemu, a wiemy, że Chmielnicki stoi pod Zamościem w sto tysięcy, a Islam-Giraj nie występuje nigdy do boju inaczej, jak też w sto tysięcy, a na ten raz wedle pewnych wieści jeszcze chmarę swą zdwoił; co waszmość o tem myślisz? nie jestże to Kserksesowe owe wojsko, rzucające się na Greków garsteczkę?...

(D. c. n.).

K O S M O G R A F.

Rysunek nasz przedstawia, przyrząd przeznaczony do rozpowszechniania wiadomości kosmograficznych pomiędzy publicznością. Kosmograf ma kształt ozdobnego pomnika, na wysokości podstawie wznosi się gruby pręt żelazny, podtrzymujący koło pionowe, które wyobraża południk. Przez środek tego koła przechodzi cieńszy drąg, wystający znacznie z obu stron poza okrąg. Ten drąg wskazuje gwiazdę biegunową i tęp samem przedstawia położenie osi ziemskiej. Prostopadle do tej osi leży koło poziome, które znów również wyobraża. Położenie obu tych kół, zarówno jak osi, musi być w każdej miejscowości zastosowane do szerokości geograficznej. Prostopadle na południku ustawiony jest krótszy drąg, wskazujący zenit. Szytyki, stosownie umieszczone na południku, wskazują koła zwrotnikowe i biegunowe. Równik podzielony jest bardzo dokładnie na stopnie, a ponieważ cień osi ziemi pada na niego, więc może służyć za zegar słoneczny, licząc 15 stopni za godzinę. Na rozmaitych częściach kosmografu umieszczone są napisy, wskazujące nazwy tych części, a na podstawie różne daty ważniejszych faktów w dziejach astronomii. Niejeden przechodzień, niemający żadnego wyobrażenia o kosmografii, przez ciekawość zbliży się do ozdobnego pomnika i przypatrując mu się bliżej, zapozna się z wielu pożytecznymi wiadomościami. Kosmograf, na rysunku naszym przedstawiony, stoi na wybrzeżu morskiem w okolicy Marsylii.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Henryk i William gotowi byli zaraz otwartą wojnę wypowiedzieć i lwicy, i hyenom, a te ostatnie nie stawiałyby im pewnie oporu; lecz przyrodnik i tą razą zapał ich powstrzymał, a musiał użyć całej swej wymowy, aby im zuchwały ten zamiar

wybić z głowy. Możeby mu się to nawet nie było udało, gdyby inna propozycja, której nikt się nie spodziewał, nie przerwała nagle narady. Zulus Kongo podejmował się pokonać lwicę.

— Jakto, sam chcesz tej sztuki dokazać?—pytali młodzieńcy.

— Sam jeden — odpowiedział.

— Oszalałeś mój przyjacielu, ona cię rozszarpie w jednej chwili.

— Nie obawiajcie się, panowie, ja zabiję lwicę i nic mi się nie stanie, jestem tego pewny.

— Czy pójdziesz ze strzelbą?

— Ja strzelby nie potrzebuję — odrzekł dziki — niepotrafiłbym się z nią obejść. Zastrzegam tylko, aby żaden z panów się ztąd nie ruszał i w żadnym razie nie szedł mi na pomoc, bo lwica jest rozwścieczona i bardzo niebezpieczna. Ale tęp lepij dla mnie, bo mi nie ucieknie.

— I cóż ty z nią zrobisz?

— Obaczycie za chwilę.

Przyjaciele nasi byli przekonani, że Kongo narażać się chce daremnie na pewną zgubę. Facetan zaś miał wielką ochotę sztydzić swoim zwyczajem z towarzysza, ale się powstrzymał, bo nie zapomniał o upokorzeniu, jakie go spotkało niedawno, przy przebyciu rzeki w bród. Patrzył więc tylko z podełba na Zulusa, a zazdrość szarpała mu serce, bo przeczuwał, że ten znów w oczach jego chwałę się okryje. Myśliwi nasi, zwłaszcza młody przyrodnik, usiłowali odwieść Konga od zuchwałego przedsięwzięcia, jeden William nic nie mówił; znał on dobrze Zulusa i wiedział, że nigdy na wiatr nic nie mówił i nie rozpoczynałby tak trudnego dzieła dla próżnej przechwałki. Jeżeli zapewniał, że mu się uda, można było liczyć na to.

To zapewnienie Williama uspokoiło nieco Hansa i zezwolono wreszcie, aby Kongo wyruszył na tę osobliwszą wyprawę. Wyobrażacie sobie, z jak gorączkową niecierpliwością czekano rozstrzygnięcia walki człowieka z królem pustyni.

VII.

Kongo pokonywa lwicę.

Młodzieńcy nasi pilnie śledzili oczyma przygotowania Zulusa. Dał on niepospolite dowody roztropności przy przebyciu rzeki, ale teraz porywał się na rzecz trudniejszą jeszcze, występując do walki z drapieżnym zwierzem.

Przygotowania te nie trwały długo; Kongo wlaźł do swojego wozu i w kilka minut wydobył się napowrót zupełnie uzbrojony, a było to zwykle uzbrojenie wojownika z plemienia Zulu, opiszemy je w kilku słowach. W prawej ręce trzymał z pół tuzina *assegajów*. Ale wy podobno nie wiecie,

co to znaczy assegaj? Jest to włócznia krótsza i lżejsza daleko od zwyczajnej, służąca do odmiennego użytku. Zamiast uderzać nią nieprzyjaciela, nie wypuszczając jej z ręki, wojownik ciska na niego tę broń ze znacznej odległości; jest to coś nakształt dzirytów, używanych dawniej w Europie przed wynalezieniem prochu. Assegaje są ulubioną bronią wszystkich dzikich plemion Afryki południowej, a szczególnie Kafrów, którzy niezmiennie zręcznie się nią posługują, rzucając pociski jedną ręką na odległość kilkudziesięciu metrów z taką siłą, że równie pewny cios niemi zadają, jak kulą lub strzałą.

Kongo trzymał w ręce ze sześć takich dzirytów wyostrzonych, lecz dziwniej daleko wyglądała reszta jego uzbrojenia. Lewą ręką podtrzymywał przedmiot okrągławy, podłużny, mający ze dwa metry długości na jeden metr szerokości. Przedmiot ten, wklęsły nieco z jednej strony, a tём samém wypukły ze strony przeciwniej, zrobiony był ze skóry obciągniętej na drewnianej obręczy, przypominał nieco małe łódki, sporządzone tym samym sposobem przez dzikich krajowców afrykańskich.

Jednem słowem była to tarcza, większa jednak znacznie od używanych zwykle na wojnę przez dzikich Kafrów. Pomimo wielkich swych rozmiarów, tarcza tego rodzaju jest nadzwyczaj lekka i wybornie ochrania od pocisków, gdyż strzały i dziryty odbijają się od wyciągniętej skóry, tak zupełnie, jak od stalowej blachy. Dwa mocne sznury, przytwierdzone od strony wklęsłej, służyły za rękojeść; Kongo, ukryty całkowicie za swoją tarczą, mógł nią poruszać z największą łatwością.

Odważny nasz myśliwy w milczeniu wyruszył z obozu, niosąc przed sobą tarczę i trzymając w dłoni pęk dzirytów, z których jeden miał w pogotowiu do niezwłocznego użytku. Przygotowania Zulusa nie trwały dłużej nad pięć minut, żadna zmiana nie zaszła przez ten czas na błoni, lwica krążyła ciągle w kółko, rycząc przeraźliwie, a hyeny czatowały z daleka, spoglądając chciwie na trupy, rozciągnięte na trawie. Gdy spostrzegły naszego myśliwca, zaczęły zmykać z placu i ukryły się w pobliskim gaju. Lwica przeciwnie najmniejszej uwagi nie zwróciła na niego; pogrążona w swojej rozpacz, nie odwróciła nawet głowy i ciągle ryczała, jak szalona.

Kongo zbliżył się do niej na odległość dwudziestu kroków, potem przystanął, oparł tarczę swoją na ziemi, utrzymując ją w prostopadłym kierunku, rozmachał dziryt i cisnął go na zwierza. Pocisk świszcząc przeleciał i ostrym końcem ugrzązł w boku lwicy, która wściekłym ruchem przysiadła na tylnych łapach i chwyciwszy dziryt zębami przełamała go jak słomkę.

Ale ostrze żelazne pozostało w ranie, lwica go wyrwać nie mogła. Nagle spostrzegła Zulusa i z rykiem wściekłym rzuciła się do niego. Jednym susem przesadziła odległość, dzielącą ją od miejsca, gdzie stał Kongo, za tarczą swoją ukryty i byłaby go niezawodnie zgmiotła pod pazurami, gdy nagle Zulus znikł jej z oczu i zatrzymała się zdziwiona.

Ale młodzi myśliwi śledzili pilnie wszystkie jego poruszenia, dla nich w tём zniknięciu nie było nic czarodziejskiego, oni wiedzieli, że Kongo przypadł do ziemi i leżał ukryty pod swoją tarczą, zupełnie, jak żółw pod skorupą, trzymając silnie za sznury. Lwica nie mogła pojąć, co się stało; zamiast dosięgnąć nieprzyjaciela, na którego ostrzyła pazury i zęby, natrafiła łapą na przedmiot twardy, a pomimo usiłowań rozedrzeć go nie mogła. Zawiedziona w swoim oczekiwaniu, odskoczyła na bok i przypatrywać się zaczęła temu dziwnemu przedmiotowi, który ją dziwił i przestraszał po trochu. Popatrzywszy tak przez chwil kilka, zaczęła mruczeć gniewnie i oddalała się truchtem.

Kongo, słysząc oddalające się mruczenie, podniósł lekko swoją skorupę i wyjrzał na świat Boży, a spostrzegłszy, że lwica tyłem do niego była obrócona, zerwał się szybko na nogi a trzymając zawsze tarczę przed sobą, cisnął drugi dziryt. Pocisk przebił znowu bok zwierzęcia, które tą razą nie traciło czasu na wrywanie dzirytu z rany, lecz wściekle rzuciło się na tego dziwnego napastnika. Ale i teraz rozjuszona lwica napotkała tylko splaszczoną tarczę przed sobą. Gniew jej nie znał granic, nie odbiegła już tak, jak pierwszą razą, ale zaczęła tłuc i szarpać pazurami skórę, usiłując zerwać z ziemi osobliwszą skorupę, kryjącą przed nią zuchwałego nieprzyjaciela.

Położenie naszego Zulusa było teraz bardzo niebezpiecznie. Gdyby lwicy udało się poruszyć tarczę, byłoby po nim w mgnieniu oka. Wiedział on dobrze o tём i z całej siły trzymał za sznury jedną ręką, a drugą przyciskał obręcz drewnianą do ziemi i nie dał się pokonać w tój straszliwej walce z drapieżnym zwierzem.

Lwica znowu przez kilka minut spędzała złość na tarczy, nie mogąc jej zerwać, w końcu zniechęcona oddalała się po raz drugi i powróciła do trupów, których pilnowała wytrwale. Kongo przysłuchiwał się uważnie, a gdy głucho jej mruczenie odezwało się w pewnym oddaleniu, tarcza się podniosła szybko, trzeci dziryt świsnął w powietrzu i przebił szyję lwicy.

Lecz i ta rana nie była śmiertelna i powiększyła tylko wściekłość zwierzęcia. Odwracając się raz jeszcze do tego nieprzyjaciela, którego pochwycić nie mogła, lwica skoczyła tak gwałtownie,

że Kongo zaledwie zdążył ukryć się pod swoją tarczą. Gdyby się był o jedną sekundę spóźnił, drapieżny zwierz byłby go niezawodnie rozszarpał, gdyż przyciskając obręcz do ziemi uczył nad głową wściekle uderzenia szponów o skórę.

Dzielny Zulus potrafił jednak umknąć i zabezpieczyć się pod swoją ochronną skorupą, a mógł być pewny, że najpotężniejsze pazury nie zdołają rozedrzeć mocnej bawolej skóry. Tą razą jednak lwica, chociaż po daremnych usiłowaniach przestała szarpać i drapać tarczę, nie chciała od niej odstąpić, zaczęła więc krążyć dokoła i наконец położyła się tuż obok. Nieszczęsny Kongo był obleżony w swojej twierdzy!

Młodzi myśliwi widzieli wybornie z obozu lwicę, czyhającą cierpliwie na swoją ofiarę, z postawy jej widać było, że nie miała zamiaru oddalać się prędko, wcześniej czy później biedny Zulus musiał paść ofiarą swojego zuchwalstwa, wpadł sam w zasadzkę, którą obmyślił na drapieżne zwierzę. Gdyby teraz odważył się wyjrzeć na jedno mgnienie oka z pod tarczy, zginąłby niechybnie, a nie mógł tak wiecznie siedzieć.

Młodzieńcy głośnem wołaniem przestrzegli Konga o niebezpieczeństwie, mógł bowiem nie wiedzieć o tém, że lwica tak blisko się usadowiła, i nieroztropnem ukazaniem się przyspieszyć swoją zgubę. Pomimo całej swój okropności i grozy, położenie Zulusa było tak zabawne, że młodzi jego panowie, jakkolwiek przejęci współczuciem dla wiernego sługi, nie mogli się powstrzymać od śmiechu. Lwica siedziała nieruchoma tuż obok tarczy, na którą spoglądała zaiskrzonymi oczyma, nie mogąc sobie dać rady z tym dziwnym przeciwnikiem, a Kongo siedział cichuteńko w swojej kryjówce, jak mysz w norze, i drwił z bezsilnej złości drapieżnego zwierza.

Osobliwsze to było widowisko; młodzieńcy nie spuszczała z oka Zulusa i od czasu do czasu powtarzali donośnym głosem przestrozę, aby się tylko nie naraził na zgubę; ale niepotrzebnie sobie gardło zrywali, Kongo zanadto był roztropny i słuch miał dobry, słyszał on doskonale i głuche mruczenie lwicy i sapanie jej niespokojne, wiedział też z której strony mu zagrażała.

Tak minęło pół godziny, a nic się nie zmieniło w położeniu obleżonego, oblegający zaś nieprzyjaciel nie myślał wcale ustępować z placu. Przyjaciele nasi postanowili wmieszać się do tej sprawy i wyruszyć w pomoc Zulusowi. Mieli broń dobrą, mogli więc zabić lub przynajmniej wystraszyć lwicę.

Słońce zaszło tymczasem i mrok okrył ziemię. Niepokój ich wzrastał co chwila, Kongo mógł się znużyć niewygodnóm swém położeniem, mógł

wreszcie usnąć ze zmęczenia, a lwica czekała tylko sposobnej chwili, aby zemstę swoją zaspokoić. Nie było czasu do stracenia, należało bowiem korzystać z ostatnich chwil widniejszych.

Osiadłano konie i nasi myśliwi mieli już pośpieszyć na odsiecz Zulusowi, gdy młody naturalista, mający wzrok bardzo bystry, spostrzegł, że odległość pomiędzy tarczą i lwicą znacznie była większa, chociaż zwierz wcale się z miejsca nie poruszył i wytrwale siedział na straży. Coś w tém było niepojętego.

— Patrzcie, patrzcie — wołał Hans — to tarcza tak zęcznie się odsuwa!

W rzeczy samej Kongo czołgał się pomaleńku po ziemi, ciągnąc za sobą ochronną powłokę, i wyglądał teraz zupełnie, jak ogromny jakiś żółw. Myśliwi nasi zatrzymywali oddech w piersiach i z gorączkowym niepokojem śledzili dalszy przebieg wypadków.

Tarcza zatrzymała się w końcu, gdy już oddała się na dziesięć metrów przynajmniej od lwicy, która nie spostrzegła na szczęście tej ucieczki, a może zbyt nią była zdziwiona, aby natychmiast powziąć jakiekolwiek postanowienie. W każdym razie nie poruszyła się z miejsca, nie spodziewając się, aby nieprzyjaciel tak dobrze strzeżony mógł się z jej szponów uwolnić.

Możeby była w końcu pogoniła za zbiegiem, ale Kongo nie czekał na to; gdy już osądził, że się dostatecznie oddalił, poskoczył nagłym susem i cisnął silnie dzirytem, a tą razą trafił prosto w serce lwicy. Ozwał się ryk, podobny do jęku i zwierz powalił się na ziemię bez ruchu.

Przeciągłe wiwaty ozwały się z obozu, zagłuszając ostatni ryk konającej lwicy, myśliwi wskoczyli na koń i pędem puścili się na plac boju.

Obejrzeni wszystkie trupy, których lwica strzegła przed żarłocznością hyen, a tu czekało ich nowe zdziwienie. Lew samiec był zabity przez dzielną antylope, która go przebiła ostremi i długimi rogami, ale po dokonaniu tego bohaterskiego czynu, nie wyciągnęła rogów z zadanej rany i musiałaby była zginąć niechybnie, nawet, gdyby lwica nie nadbiegła pomścić towarzysza.

Kongo i Facetan upewniali, że wypadki podobne zdarzają się często i że nieraz znajdowali sami trupy lwów i antylop zczepione tym sposobem. Zwycięzca ginął z głodu, nie mogąc się uwolnić od trupa pokonanego wroga.

Myśliwi nasi widzieli, że antylopa samica ma mięso smaczniejsze od samca, natychmiast więc zdjęli z niej skórę i przenieśli pieczeń do obozu, a smażąc ją przy ognisku, zasiedli w koło i wesoło rozmawiali o wypadkach dnia dzisiejszego.

VIII.

Opowiadanie o lwach.

Posiliwszy się wyborną wieczerzą, przyjaciele nasi powrócili raz jeszcze na łąkę, ażeby zabrać zabite lwy. Ogromne te zwierzęta nie mało wazyły, trudno więc było przenieść je zwyczajnym sposobem do obozu, ale uczepiono im u szyi mocne rzemienie i wleczone po ziemi. Młodzi myśliwi chcieli z nich zdjąć skórę, nie dla tego, aby miała wielką wartość, ale szło im o to, żeby się pochwalić tą świetną zdobyczą za powrotem do domu, a nie można było z tém zwlekać do dnia następnego, bo żarłoczne hyeny byłyby niezawodnie w nocy rozszarpały szczątki. Niektórzy podróżni utrzymują, że hyena nie dotyka trupa lwa; błędne to jest mniemanie, zwierzęta te pożerają wszystko, co napotkają, nawet trupy podobnych sobie hyen, a wstrętniejszego jadła trudno sobie wyobrazić.

Nie potrzebujemy dodawać, że i druga antylopa zabrana została do obozu. Zwierzę to ma wzrost dużego osła i także nie łatwo było je podnieść, ale William korzystał ze sposobności, ażeby się popisać niepospolitą swoją siłą. Grubas nasz odsunął innych chłopaków, którzy nadaremnie próbowali poruszyć antylopę połączonemi siłami, wziął w rękę rzemień, uczepiony do jęj szyi i pociągnął ten ciężar bez najmniejszego wysilenia.

Pokrajano mięso obu antylop na cienkie pasy, przygotowując je tym sposobem do ususzenia przy ogniu. Dziś jednak nie suszono go jeszcze, gdyż należało wprzód wypłukać mięso w czystej wodzie, a w stojącym jezioru woda była mętna i cuchnąca. Dla tego też młodzi nasi podróżnicy nie mieli zamiaru zatrzymywać się dłużej w tém miejscu.

I rogi antylop dołączone zostały także do myśliwskich trofeów naszych młodzieńców, a warte były tego, gdyż trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego od tych wspaniałych rogów, długich, błyszczących, jak heban czarnych, niezmiernie regularnie obrączkowanych. Ułożono je starannie w jednym z wozów wraz z głowami antylop; ozdoba ta miała być zawieszona w sali jadalnej w domu van Wyków lub van Blumów.

Ukończywszy wszystkie te ważne zajęcia, myśliwi nasi zasiedli znów dokoła płonącego ogniska, zabawiając się ożywioną rozmową. Przypominało sobie wszystkie szczegóły walki Zulusa z lwicą, śmiejąc się do rozpuku i winszując szczęśliwemu zwycięzcy.

Każdy z podróżników, oprócz Klaasa i Janka, opowiadał przy tej sposobności własne swoje przygody, gdyż wszyscy starsi spotykali się z lwami i byli świadkami wielkich łowów, urządzanych

przez osadników na te zwierzęta, które pojawiają się kiedy niekiedy nawet w bliskości mieszkań ludzkich. Facetan także znał się z niemi dobrze, ale żaden z nich nie miał pod tym względem tyle doświadczenia, co Kongo, chociaż zazdrosny Buszman byłby się wściekał, gdyby ktokolwiek odważył się powiedzieć to w jego obecności.

Młodzi nasi przyjaciele słyszeli już nieraz i dawniej o szczególnym sposobie polowania na lwy, używanym przez dzikich Kafrów; ale Kongo najchętniej ich o tém mógł powiadomić. Gromadka myśliwych prawie nagich śmiało napada lwa, czy to w gęstwinie leśnej czy na odkrytym polu i zawsze go pokonywa, nie mając do tego innej broni, oprócz dzirytów i długich kijów, na których osadzają pęki piór strusich. Ten ostatni przyrząd wygląda zupełnie, jak miotełka do zmiatania kurzu, służy zaś do zwracania uwagi lwa. Napastnik rzuca dziryt, a gdy zwierzę rozjuszony się odwróci, zatyka szybko w ziemię kij z pióropuszem, a sam w bok umyka. Lew skacze najprzód na tego stracha, a myśliwy ma czas rzucić powtórny pocisk. Podstęp ten nie jest tak dowcipny jak tarcza, ale użycie tarczy wymaga niepospolitej siły i zręczności.

Polowanie z pióropuszem jest nadzwyczaj niebezpieczne, na taką wyprawę zbiera się zwykle liczniejsza gromadka myśliwych, a rzadko kiedy wszyscy cało wychodzą. Dziryty rzucane są z bliska, a zwierzę nie zawsze się daje w pole wyprowadzić i często odrazu skacze na kark napastnika.

Przyjaciele nasi, słuchając tego opowiadania, nie mogli pojąć dla czego ludzie narażają się dobrowolnie na tak okropne niebezpieczeństwo, ale Kongo rzekł, kiwając głową ze smutkiem:

— Ci ludzi nie idą nigdy na takie polowanie z własnej woli, ale zmuszeni przez swojego władcę.

Okrucieństwa, których się dopuszczają dzicy królowie afrykańscy, są tak straszne, że trudno byłoby w nie uwierzyć, gdyby wiarogodni podróżni nie stwierdzili naocznie opowiadania krajowców. Władcy ci uważają wszystkich swoich poddanych za niewolników, życie ich mają za nic, nieraz dla okropnej zabawki lub jakiegoś zabobonu każą w jednym dniu mordować w oczach swych setki niewinnych ludzi. Oburzenie przejmowało młodzieńców naszych, ile razy Kongo opowiadał, co się działo w jego kraju pod panowaniem takiego potworu. Gdy na przykład lew porwał bydlę z niezliczonych trzód króla, nieszczęśliwi pasterze musieli przynieść okrutnikowi głowę lwa, inaczej sami śmiercią byli karani.

Kongo sam kiedyś należał do polowania, w którym zginęło dziesięciu ludzi, nim reszta zdołała

pochwycić żywego ogromnego lwa, taki był bowiem rozkaz monarchy; trzeba było przyprowadzić mu zwierzę żywe, nawet nie ranione. W razie nieposłuszeństwa wszyscy myśliwi zginęliby niechybnie w jednej chwili. Biedacy wiedzieli dobrze, że nie zdołają się uwolnić od tego wyroku, więc bez namysłu rzucili się na lwa, obejmując go gołemi rękami, związali go i przyprowadzili przed króla, ale dziesięciu z nich padło pod pazurami drapieżnego zwierza.

Kongo skazany na śmierć za jakieś drobne wykroczenie potrafił umknąć szczęśliwie i dziś, szczerze przywiązany do swoich panów, nie tęsknił już nawet do ojczyzny.

IX.

Jednorożec.

Nagadawszy się dosyć o lwach, młodzi myśliwi przeszli z kolei do antylop. Tu już Facetan mógł się popisać dokładniejszymi wiadomościami od Zulusa, gdyż antylopa kantarowana rzadko się pokazuje w krainie Kafrów, najliczniej zaś przebywa w okolicy zwanéj Namaqua, na zachodniem wybrzeżu Afryki południowej; Kafrowie zamieszkują wybrzeże wschodnie.

Pazan, czyli antylopa kantarowana, jest zwierzęciem pustyniowém, żyje w okolicach całkowicie pozbawionych wody, jedynym jej pokarmem są rośliny pokrywające spiekło, kamieniste grunta. Szlachetne to i odważne zwierzę występuje nieraz do walki z lwem pustyni, a jak widzieliśmy, pokonywa go nawet, gdyż długie rogi antylopy kantarowanéj są bronią potężną. Uciekając przed pogonią, nie zwraca się do wody i nie kryje się w gąszczach jak zwykle czynią inne gatunki antylop, ale pędzi prosto przez błonia, gdyż ufa szybkości swojego biegu i nigdy prawie się nie zawodzi. Chyba koń silny i mocny w nogach potrafi ją dogonić, a raczej znużyć. Czasem tylko nadto wypasione antylopy ustają prędzej i dają się łatwiej ułować.

Rozmowa ta nasunęła na myśl naszym myśliwym zajmującą kwestą do rozstrzygnięcia. Nieraz w opisach podróży здаżało im się napotkać przypuszczenie, że ta antylopa jest bajecznym jednorożcem, wyobrażanym często na rzeźbach egipskich; zapytali więc, nie Facetana, jak łatwo się domyslić, ale młodego przyrodnika, co o tém sądzić należało.

Hans jednak był tego zdania, że to przypusz-

czenie nie miało najmniejszej podstawy. Uroił to sobie któryś z dawniejszych podróżników, a inni powtarzali za nim, nie zastanawiając się nad tém. Wyobrażano sobie, że pazan przedstawiany był z jednym rogiem na rzeźbach starożytnych dla tego, iż patrząc nań z boku, widzi się rzeczywiście jakby jeden róg. Ale zapomniano o tém, że ów bajeczny jednorożec ma kształt głowy zupełnie oddmienny, a i róg jego jedyny wygięty jest naprzód, podczas gdy pazan ma rogi prawie równoległe z karkiem, całkowicie w tył odwrócone.

(D. c. n.).

S Z A R A D A (Rózia D).

Pierwszy odwrotnie — polski humorysta
Dowcipem tryska każde jego słowo,
Drugie i trzecie trzyma oberżysta,
Kto je zbyt lubi odpowiada głową
Wszystko jest imię — a przecie,
W kalendarzu nie znajdziecie.

Łamigłówka zgłoskowa (K. K.).

chód—cki—e—el—j—kra—kra—loo—roz—rza—
si—so—ter—tes—ut—wa—zo—zop—zra.

Z tych zgłosek ułożyć 8 wyrazów: 1) Wydatki, 2) Zjawisko północne, 3) Starożytny bajkopisarz, 4) Miejsce sławne bitwą, 5) Pierwsza nuta w gamie, 6) Mędrzec, 7) Pisarz polski, 8) Nazwa plemienia. Pierwsze litery, od góry do dołu, utworzą nazwisko pisarza historycznego, ostatnie, od dołu do góry, tytuł jego utworu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Zagadki:

Bebe, karzeł ulubiony króla Stanisława Leszczyńskiego.

Łamigłówki głoskowe:

Panteon. — Amoretki. — Ujście. — Lukullus — Izop. — Nekao. — Achmed. — Kalisz. — Rossini. — Aleksandra. — Kaimakan. — Overbeck. — Woda.

Paulina Kraków — Niespodzianka.